

**JAK** GDYBY NIECO WBREW narzekaniom, iż życie kulturalne zamiera w dobie kryzysu, w Warszawie dzieje się ostatnio w tej dziedzinie tak wiele, że Kurier przestaje nadążać za artystycznymi wydarzeniami; powinien, być może, ukazywać się częściej niż raz na miesiąc, dopiero wtedy warszawska panorama byłaby pełniejsza, no i aktualniejsza. Myślę, oczywiście, o ewentualnym przejściu po prostu na dwutygodniowy cykl wydawniczy, a nie o jakichś „nadzwyczajnych wydaniach”, bo chociaż zdarzeń zasługujących na odnotowanie jest rzeczywiście sporo, to jednak wydarzeń, które usprawiedliwiłyby nadzwyczajne dodatki, praktycznie biorąc — nie ma. Jeśli można by coś w ostatnim czasie wydarzeniem nazwać, to chyba tylko premierę „Nie-Boskiej komedii” u Macieja Prusa; odbyła się bodaj jeszcze w styczniu, piszę więc o niej ze znacznym opóźnieniem, tak się jednak złożyło, że nie mogłem być na pierwszych przedstawieniach, a teraz grywana jest rzadko i trzeba wykazać się niezłym refleksem, aby między spektaklami „Metra” przyjętymi przez Teatr Dramatyczny w gościnę trafić na Krasieńskiego.

Przyjmując w tym sezonie dyrekturę artystyczną Dramatycznego, Maciej Prus wziął sobie na głowę przepiękny kłopot. Po pierwsze — przejął zespół zniszczony jeszcze decyzjami stanu wojennego, po drugie — wszedł w konflikt z amatorami kupna i sprywatyzowania całego obiektu. To, że w takiej sytuacji i takiej atmosferze otaczającej jego teatr potrafi działać — i to tak efektywnie! — zasługuje na duże uznanie, zwłaszcza że drogą idzie nie najłatwiejszą. „Nie-Boska”? Wielka dramaturgia romantyczna — kogo to dziś obchodzi?... Powinno obchodzić. Na przedstawieniu, na jakim byłem — jeszcze przecież niezbyt odległym od premiery — widownia wypełniona była do ostatniego miejsca, lecz wyłącznie przez szkoły; wiadomo — Krasieński, to przecież lektura obowiązkowa. Z jednej strony — to dobrze, że młodzież uczy się na najlepszych wzorach, z drugiej — czy naprawdę tak niewiele jest w Warszawie dorosłych, którzy również chcieliby obejrzeć i przeżyć na nowo jedno z największych arcydzieł naszej literatury? Trochę wstyd.

Przed ćwierć wiekiem Maciej Prus był asystentem Konrada Swinarskiego, gdy ten w krakowskim Starym Teatrze realizował swą niezapomnianą, barokową wizję „Nie-Boskiej

i ważny spektakl, którym Prus interesująco rozpoczął swą warszawską kadencję dyrektorską. Podobnie — na małej scenie Dramatycznego, nazwanej teraz Salą im. Haliny Mikołajskiej. Przez wiele lat ta znakomita aktorka należała do zespołu tego teatru; w roku 1957 stworzyła tu m. in. wielką kreację w „Krzesiach” Ionesco, toteż na otwarcie sali jej imienia przygotowano właśnie nową inscenizację tej sztuki. Wyreżyserował ją Szczepan Szczykno, a wspaniale zagrali tym razem Zofia Kucówna i Henryk Bista. Sama sztuka, naturalnie, nie wywiera już takiego wrażenia jak niegdyś, w pierwszych latach popaździernikowej odwilży, inaczej też jest już odbierana — nie jako metafora, lecz po prostu jako tragedia ludzi starych, samotnych, bezwolnych, bezradnie marzących o zmianie ponurej egzystencji. Niezmiennie jednak daje świetne pole do aktorskiego popisu, i tak też — korzystając z wybornej obsady — potraktowano ją w Dramatycznym.

Zwyciżywszy, iż kolejną premierą u Prusa była adaptacja Prousta (niestety, Ewa Isajewicz-Telega tuż po premierze złamała nogę i spektakl na razie grany jest w obsadzie zastępczej), nie można powiedzieć, by w Dramatycznym dominował repertuar rozrywkowy. Takiego natomiast, ale w możliwie najlepszym gatunku, oczekuje zagraniczna Polonia. Co za-

## KURIER WARSZAWSKI

Odrabiam zaległości: „Nie-Boska” u Prusa ● „Krzesia” w Sali im. Haliny Mikołajskiej ● Ekspertowe spektakle także do obejrzenia w kraju ● Pinter jako autor zgrabnych sztuk bulwarowych ● Andrzej Straszynski — artystycznym dyrektorem TW; podziwiam, ale nie zazdroścę... ● Wydarzenie muzyczne: Requiem Dvorzaka.

Wiśniewska w roli Podstoliny i Dorota Nowakowska jako Klara.

Pełzi ta „Zemsta” zwawo, wesoło, a jednocześnie z troską, by cudowny wiersz Fredrowski podany został słuchaczom tak, jak na to zasługuje. Toteż, choć nie jest to spektakl odkrywczy, to przecież ogląda się go z nieklamana przyjemnością; ci Kanadyjczycy, to mają dobrze, jeśli przysyła im się z kraju takie cacka.

A my w Warszawie? Też nie narzekamy. Poza wielkim repertuarem: Krasieńskim u Prusa, Szekspirem u Macieja Englerta, Dostojewskim u Grzesińskiego czy Tolstojem u Grzegorzewskiego, mamy również odrobinę dobrego teatru bulwarowego: dwie krótkie, zgrabne sztuki Harolda Pintera. W Prezentacjach u Romualda Szejdy przypominano grana już w Warszawie przed tużem lat „Zdradę”. Niby nic, a jednak coś — trójakt małżeński, w którym wszyscy właściwie zdradzają się mniej lub bardziej otwarcie, i wszyscy w gruncie rzeczy pozostają samotni, nawzajem sobie obcy. Opowiada to Pinter w karkołomny sposób: od końca do początku, a i to nie zawsze w zgodzie z chronologią, w rezultacie jednak dobrzy aktorzy potrafią ułożyć z krótkich, niemal biekautowych scen logiczną, spójną całość. W sprawnej reżyserii Szejdy bliższy przede wszystkim Joanna Szczepkowska, w świetnym towarzystwie Jana Englerta i Mariusza Benoit.

W Teatrze Za Dalekim natomiast (który istotnie jest trochę za daleko, by przyciągać tłumy publiczności) — Pinterowski „Kochanek”. Znów w krótkich scenkach oglądany skomplikowaną grę pozorów i mistyfikacji, rozpisana na dwoje aktorów. Reżyserował spektakl Szczepan Szczykno, a efektowną grę zademonstrowała Anna Majcher („Mów mi, Rockefeller”) i Marek Kondrat („W labiryncie”) — sympatyczny wieczór, zapewniający relaks w miłym towarzystwie bardzo lubianych aktorów...

O te sympatyczne wieczory trudniej natomiast w warszawskim Teatrze Wielkim: nie udało się premiera „Capulecchich i Montecchich” Belliniego, głównie z powodu sztamkowej reżyserii i bardzo nierównej obsady, w której jedynie Zdzisława Donat (Julia) i Maria Olszys (Romeo) zaprezentowały poziom godny Teatru Wielkiego, średnio wypadła także premiera „Jawnuty” Moniuszki, przygotowana na scenie kameralnej przez niestrudzoną Marię Foityn. Po prostu sama opera nie jest dość atrakcyjna; trudno się dziwić, że uległa zapomnieniu, no ale — może to i dobrze, że jednak ją odkurżono i zdecydowano pokazać jako ciekawostkę — Moniuszkę powinniśmy u nas znać jak najdokładniej, zatem nawet z utworów mniej udanych. Dopiero